

ANTHONY HOPKINS

DALIŚMY RADE,
CHŁOPAKU

WSPOMNIENIA

PRZEŁOŻYŁA
DIANA WIERZBICKA

MARGINESY

We Did OK, Kid

COPYRIGHT © 2025 BY Anthony Hopkins

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Diana Wierzbicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2025

Dla Stelli z wyrazami miłości

*[S]taralem się usilnie o to, aby ludzkich postępów
nie wyśmiewać, nie opłakiwać i nie potępiać, lecz je zrozumieć*.*

BARUCH SPINOZA, *Traktat polityczny*

* Benedykt de Spinoza, *Traktat polityczny*, w: tegoż, *Dzieła*, t. 2, przeł. Ignacy Halpern, Warszawa 1916, s. 355 (o ile nie wskazano inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki).

Wstęp

DALIŚMY RADĘ, CHŁOPAKU



Był 1941 rok. W pewien ponury niedzielny poranek na wydmach plaży Aberavon kolega ojca, Cliff Mathers, poczęstował mnie pastylką na kaszel. W czasie wojny nie było cukierków ani słodczy, a żywność racjonowano. Byłem tak zaaferowany, że cukierek wypadł mi z ręki w piasek. Popłakałem się, a ojciec i Cliff wybuchnęli śmiechem. Dostałem drugą pastylkę. Ojciec przykucnął, żeby mnie pocieszyć. Łzy

przystały lecieć. Cliff zrobił nam zdjęcie. To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Miałem wtedy trzy lata.

Teraz mam osiemdziesiąt siedem lat. Gdy czasami spoglądam na to zdjęcie, mam ochotę powiedzieć temu zdezorientowanemu dziecku: „Daliśmy radę, chłopaku!”.

Byłem, jak większość dzieci, wylękniony i zagubiony. Ale to nieodłączny element dorastania: jest się zbyt młodym, żeby znaleźć jakikolwiek sens w istnieniu. Poczucie zagubienia i bezsilności towarzyszyło mi również w dorosłym życiu. Nie mogę się nadziwić, a właściwie – jak to nazwać... jestem z a k ł o p o t a n y... czy raczej z d u m i o n y... – tak, z d u m i o n y, że nadal tu jestem. Nie umiem tego wyjaśnić.

Moja dusza nosi nieusuwalne piętno w postaci nieodłącznego wrażenia niedopasowania.

Ulepiono mnie jednak z twardej gliny. Mój ojciec był właśnie taki: konkretny i bezpośredni. Dał mi dobrą radę: „Rób swoje. Stój prosto i nie marudź”. Racja. Kolejna ojcowska rada brzmiała: „Życie jest ciężkie. No i co z tego? Nigdy się nie poddawaj”. Niezbyt pokrzepiające, ale działa. Właśnie taki był mój staruszek, Richard Arthur Hopkins.

Nie ma go już z nami. Nie wiem, czy istnieje w innym wymiarze, w zaświatach czy jakimś innym mitycznym miejscu. Z pewnością jednak można go odnaleźć we mnie, niczym kawałki potłuczonej porcelany.

Od zawsze prowadzę życie odludka, ale dobrze mi z tym. Miałem okazję przeżyć niesamowite przygody. Nie uważam się bynajmniej za ofiarę. Dobrze wykorzystałem te potłuczone kawałki: samotność, wyobcowanie, lęk i tak dalej. Teraz jestem nawet za nie wdzięczny. Dzięki takim bodźcom nieustannie parłem do przodu, aby znaleźć się właśnie w tym miejscu.

1

SŁONIOWY ŁEB



W inną dżdżystą, ponurą niedzielę, tym razem we wrześniu 1949 roku, stałem się mężczyzną. Miałem wtedy jedenaście lat. Tamtego popołudnia rodzice odwieźli mnie do szkoły z internatem położonej na górującym nad miasteczkiem Pontypool wzgórzu w hrabstwie Monmouthshire. Był to dziewiętnastowieczny kompleks budynków z czerwonej cegły.

Szkoła West Mon mieściła się w gotyckim budynku o fasadzie zwieńczonej spiczastymi iglicami. Nad wejściem znajdowała

się płaskorzeźba przedstawiająca dwa tryki trzymające zwój z napisem „Służyć i słuchać”. Budynek ten miał złowieszczy wygląd nawiedzonego zamku, potęgowany dodatkowo przez ulewny deszcz, dudnienie grzmotów i wściekle podmuchy wiatru, czyli typową dla Monmouthshire aurę. Znienawidziłem go od pierwszego wejrzenia.

Musiałem tam zostać, ponieważ matka pragnęła zapewnić mi jak najlepsze wykształcenie. Ojciec nie był do końca przekonany do tego pomysłu, gdyż wiązało się to ze sporymi wydatkami.

Zgadzałem się w pełni z ojcem, bo nie zależało mi na edukacji. Po co marnować na nią pieniądze? Nie byłem pilnym uczniem i raczej nie zapowiadało się, aby cokolwiek w tej materii miało się zmienić na lepsze. W poprzedniej szkole podstawowej, w Port Talbot, bladolicy nauczyciele już postawili na mnie krzyżyk, a najbardziej złośliwy z nich nazywał mnie nawet Koziołkiem Matołkiem.

Dzieci z mojej ulicy wołały na mnie Słoniowy Łeb. Rzeczywiście miałem nieproporcjonalnie dużą głowę zatknętą na wątłym tułowiu. Rodzice obawiali się nawet, czy nie mam wodogłowia, ale doktor Bray, pediatra, zapewnił ich, że wszystko ze mną w porządku.

– Trzeba go tylko troszeczkę podtuczyć – zaordynował.

Przyjazd z rodzicami do West Mon nie był katastrofą. Był jednym z wielu nieprzyjemnych zdarzeń, z jakimi przychodzi nam się zmierzyć w życiu, lecz z jakiegoś powodu zasiał w mojej głowie ziarno obojętności. Poprzysiągłem sobie, że zaryzykuję i nigdy więcej nie zbliżę się do rodziców ani do kogokolwiek innego. Przestało mi na czymkolwiek zależeć. Postanowiłem przejść przez życie na własnych warunkach, otworzyć się na to, co przyniesie przyszłość. Zapomnieć o przeszłości. „Dzieciństwo dobiegło końca. Zrozumiałem. Bez odbioru” – myślałem. Zostałem jednym z wielu trybików maszyny edukacyjnej.

Po krótkiej wizycie u pana Harrisona, dyrektora szkoły, oraz jego energicznej, korpulentnej żony obejrzelśmy szybko klaustrofobiczną bursę. W kwadratowej sypialni o ścianach pomalowanych na szpitalną

zieleń upchnięto szesnaście łózek. Następnie wróciłem z rodzicami na parking przed głównym wejściem. Wsiadli do samochodu. Kiedy ruszyli, słońce odbijało się w szybie auta. Mimo to dostrzegłem, że matka macha do mnie na pożegnanie. Ojciec nie spuszczał oczu z drogi, więc nie podniosłem rąk i nie odmachiałem.

Ich samochód, dokładnie wypolerowany Ford model C Ten, zniknął mi już z oczu, lecz udało mi się zapamiętać tablicę rejestracyjną: BTX 698. Przez resztę tamtego deszczowego jesienno popołudnia powtarzałem cicho pod nosem:

– BTX sześć, dziewięć, osiem. BTX sześć, dziewięć, osiem. BTX sześć, dziewięć, osiem.

Motto szkoły brzmiało: „Wiara, osiągnięcia, sukces, służba i posłuszeństwo”. Hymn szkoły miał jeszcze bardziej przygnębiające przesłanie: „Maszerujemy z pieśnią na ustach, pieśnią niezwykłych”. Musieliśmy śpiewać te idiotyzmy każdego ranka podczas apelu, pod okiem ponurej kadry nauczycielskiej.

Jeden z wychowawców w tym swoistym więzieniu z czerwonej cegły okazał się bezlitosnym typem byłego żołnierza. Walczył w Afryce Północnej w kampanii przeciwko wojskom generała Rommla. Nazywałem go Hom, ponieważ twarz miał czerwoną jak skorupa homara. Oznajmił mi kiedyś, że w przyszłości z pewnością zostanie łachmaniarzem. To śmieszne, dramatycznie brzmiące określenie bardzo mi się spodobało.

Powtarzałem sobie: „Ćśśśś, ćśśśś, ćśśśś. Jestem tym, kim jestem. Jestem tym oto Łachmaniarzem”.

Umiąłem także świetnie błaznować. Często udawałem Stracha na Wróble z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, Belę Lugosiego w roli Draculi czy Borisa Karloffa jako monstrum doktora Frankenstein. Dobrze mi szło naśladowanie zasłyszanych głosów i dźwięków. Umiąłem rzeć jak koń i szczekać jak pies. Udawałem też Królika Bugsa: „Co jest, doktorku?”, Elmera Fudda, Kaczora Daffy’ego, Prosiaka Porky’ego: „Na dziś to już koniec!”.

Kiedys na lekcji błaznowałem, ku niekłamanej ucieście kolegów, więc Hom napisał na tablicy: „«Czymże / Byliby lepsi od kóz albo owiec, / Kryjących w sobie ślepe życie, ludzie»* – lord Alfred Tennyson”.

Kazał nam przepisać ten cytat dwadzieścia razy. Podszedłem do tego z czarnym humorem – przepisując, meczałem jak owca i pobe-kiwałem jak koza. Podbiegł do mnie Hom, uderzył mnie. Beczałem dalej. Bił dalej.

Im więcej klapsów dostawałem, tym częściej stosowałem sztuczkę, która pomagała mi przetrwać: moja twarz przybierała wyraz czystej, bezmyślnej bezczelności. Mina ta sugerowała, że jestem absolutnie obojętny na wszystko, co strasznego dzieje się wokół mnie. Nie reagować. Wygrać pojedynek na spojrzenia. Udać, że oni nie istnieją. Nowo odkryta władza sprawiała mi niezwykłą przyjemność. Nie okazywać bólu! Schować go głęboko w sobie, zamieść pod dywan i iść dalej. Doprowadzało to dorosłych do szału, a mnie niezmiernie cieszyło.

Źle wspominał pobyt w tej okropnej szkole, ale to właśnie tam po raz pierwszy zetknąłem się z Szekspirem.

Był sobotni wieczór. Zwołano nas do auli, na szczęście jednak nie po to, żeby odśpiewać hymn szkoły, lecz aby wyświetlić nam film, prawdziwy film dźwiękowy. Szkoła wynajęła projektor oraz operatora, pana Gordona Phillipsa. Było to coś nowego, niezwykle ekscytującego.

Siedzieliśmy na drewnianych krzesłach w oczekiwaniu. Wreszcie do auli wszedł dyrektor, pan Harrison. Był odziany w togę, aby podkreślić powagę tego wydarzenia. Towarzyszyła mu ogromna niczym krążownik żona, pani Harrison. Za nimi weszli nauczyciele: Max Horton, Hom Garnett i inni. Pan Harrison kazał nam zachowywać

* Alfred Tennyson, *Odejsie Artura*, w: tegoż, *Poezje wybrane*, przeł. Zygmunt Kubiak, Warszawa 1970, s. 66.

się cicho, nie odzywać się, nie wiercić ani nie śmiać. Każdy, kto złamie ten zakaz, zostanie usunięty z pomieszczenia. Wyobrażaliśmy sobie, że jego rychła egzekucja odbędzie się w sali gimnastycznej.

– *Hamlet* to ważny film. Wyreżyserował go pan Olivier, największy aktor szekspirowski na świecie. Jego misją jest popularyzacja dorobku i mądrości barda z Warwickshire, Williama Szekspira.

„Dobry Boże, tylko nie to! Nie Szekspir... Oszczędź nam tych męczarni” – pomyśleliśmy.

Pan Harrison głądził o Szekspirze i panu Olivierze przez kolejne pięć minut. Wreszcie podziękował operatorowi projektora, panu Gordonowi Phillipsowi z Griffithstown.

„Jakie to będą koszmarnie nudy!” – przemknęło mi przez myśl. Odwróciliśmy się, żeby podziękować panu Gordonowi Phillipsowi z Griffithstown. Pani Harrison kazała nam powiedzieć chórem: „Dziękujemy panu Gordonowi Phillipsowi z Griffithstown”. Czułem, że jestem w piekle.

Pan Gordon Phillips z Griffithstown stał pomiędzy dwoma projektorami kinowymi w pełnej gotowości do akcji. Był korpulentnym młodzieńcem o spoconej twarzy, z włosami przylizanymi brylantyną. Specjalnie na ten wieczór włożył błękitną muchę. To było prawdziwe piekło.

Na scenie ustawiono duży ekran kinowy.

Przygaszono światła. Na ekranie pojawiła się znana nam czołówka J. Arthur Rank Organisation: mężczyzna uderzający w ogromny gong, potem napis: „A J. Arthur Rank Enterprise”, następnie ciemność. Nagle usłyszeliśmy pierwsze takty ścieżki muzycznej autorstwa Williama Waltona.

Wrażenie było... *n i e s a m o w i t e*. Ujęcie na murach obronnych. Duch ojca Hamleta. Wnętrze zamku Elsynor. Olivier, który rozpoczął swój monolog słowami:

Bogdaj to trwałe, zbyt wytrwałe ciało
Stopniało, w lotną parę się rozwiało!*

Siedziałem jak urzeczony do samego końca monologu.

Ale pękaj, serce moje,
Bo usta milczeć muszą.**

Nigdy wcześniej nic mnie tak nie urzekło. Było to niesamowite doświadczenie. Nie rozumiałem jeszcze struktury tego dramatu, niuansów fabuły, archaicznego języka, dziwnych zwrotów, rytmu ani frazy.

Czułem jednak, że Olivier w roli Hamleta mówi prosto do mnie, trącając czułą strunę. Było to nieziemskie doświadczenie. Żal Hamleta z powodu śmierci ojca i zdrady zmarłego męża przez matkę. Rozpłakałem się pod wpływem dramatycznego opisu tragicznych losów ojców i matek, wszystkich nas nawiedzają bowiem duchy przeszłości. Byłem jeszcze zbyt młody, żeby zrozumieć głębsze przesłanie tych słów, lecz moją duszę objęła we władanie jakaś potężna siła.

* William Szekspir, *Hamlet. Królewicz duński*, przeł. Józef Paszkowski, Lwów 1928, s. 15.

** Tamże, s. 16.

DZIEWIĘCDZIESIĄT TRZY MILIONY MIL

W pierwszej szkole z internatem nie nauczyłem się niczego, więc moi biedni rodzice musieli się poważnie zastanowić, co dalej z moją edukacją. Byli tak zdesperowani, że postanowili znaleźć kogoś, kto pomógłby mi wzbić się na wyżyny osiągnięć naukowych, czyli, cytując matkę i ojca: „wstawiłby się za mną, gdzie trzeba”.

Miałem wrażenie, jakbym występował w pełnej zwrotów akcji i dygresji komedii Szekspira. Powinienem chyba czuć się wyróżniony, ponieważ mój los obchodził tak wiele osób, ale w środku tego całego zamieszania czułem się jak idiota. Nie chciałem brać w tym udziału.

Skierowano nas do tajemniczej postaci, osoby niezwykle wpływowej. Moim zbawcą miał zostać wuj Eddie, który mieszkał w Porthcawl, w dzielnicy Rest Bay, ale nie zadzierał z tego powodu nosa, czyli wydawał się godny zaufania.

Okazało się, że ten wspaniały człowiek, którego wszyscy nazywali wujem Eddiem, jest dalekim krewnym mojego ojca. Ojciec mawiał, że ta gałąź rodziny dosłownie „śpi na pieniądzach”. Chodziło mu głównie o wiekowe ciotki i zasuszonych wujów mieszkających przy St. Mary's Street, czyli o *crachachs* z Rest Bay. Pogardliwego określenia *crachach* używano w Walii w stosunku do elity, która trzymała w garści sektor edukacji.

Żaden z moich dziadków nie zadzierał nosa. Dziadek Hopkins, którego nazywałem dziadkiem H., był niezłym twardzielem. Uwielbiał się tym przede mną popisywać.

Każdego ranka mył się w zimnej wodzie, a potem cały dzień harował.

„Jestem twardy jak skała” – mawiał. Wyciągał przed siebie prawe ramię, zaciskał pięść, a następnie ją rozwierał. „Patrz, ani drgnie. To prawdziwa siła. W życiu trzeba być silnym, to się nazywa dobór naturalny”.

Urodził się w Neath, w południowej Walii, w 1878 roku. Według legendy, którą najprawdopodobniej sam stworzył, uciekł od ojca pijaka i ukrył się w wagonie pociągu jadącego do Londynu. Zamieszkał w Bermondsey, w południowo-wschodniej części miasta. Miał mało pieniędzy, ale udało mu się znaleźć pracę sprzątacza w niemieckiej piekarni niedaleko Piccadilly.

Szybko przekonał się, że praca w piekarni to ponura harówka, lecz z czasem stał się wytrawnym piekarzem i doskonałym cukiernikiem. Później zdobywał liczne nagrody podczas konkursów piekarskich na Earl's Court w Londynie. Nadal mam puchary, które wtedy otrzymał. Na jednym z nich widnieje napis: „Arthur Richard Hopkins 1924, pierwsze miejsce za bułeczki z porzeczkami”.

Niektóre historie, które opowiadał, były z całą pewnością lekko podkoloryzowane, ale z reguły wierzyłem w jego opowieści. Podziwiałem go, lecz on zauważał mnie tylko wtedy, gdy grałem na pianinie. „Anthony ma dość dużą głowę – powiedział raz mojej matce. – Ciekawe czemu, skoro w środku pusto”.

Dziadek Hopkins był ateistą, wegetarianinem oraz sympatykiem Karola Darwina i wielkiego dramaturga George'a Bernarda Shawa. Zaciekał go rozwój ruchu samopomocy w Ameryce. Pokazywał mi książki, które kupił u handlarza starzyzną na Charing Cross Road, będąc jeszcze praktykantem w Londynie. Ledwie starczało mu pieniędzy na czynsz i jedzenie, ale nie odmawiał sobie książek, choćby

Evils of Tobacco [Zło tytoniu] Dwighta Baldwina czy *Developing Mental Power* [Jak rozwinąć siłę umysłu] George'a Malcolma Strattona.

Opowiadał mi też o młodzieńcu imieniem Gerald, z którym pracował w londyńskiej piekarni. Gerald ożenił się z młodą kobietą. Urodziła im się córka, ale nie mieli wystarczającej ilości jedzenia, żeby ją wykarmić. Mężczyzna poważnie zachorował. Dziadek podejrzewał, że na suchoty, czyli gruźlicę, bo jednym z objawów tej choroby był suchy, męczący kaszel. Pewnego ranka Gerald nie przyszedł do pracy. Majster oznajmił pracownikom, że poprzedniego wieczora zmarł na zapalenie płuc. Nikt nie odezwał się ani słowem, nie przerwano pracy.

Dziadek Hopkins został działaczem robotniczym. Opowiadał mojemu ojcu, jak kiedyś poznał Włodzimierza Lenina. Mogła to być bujda na resorach, element starannie tworzonej legendy, albo i prawda, ponieważ Lenin rzeczywiście przez jakiś czas mieszkał w Londynie. Przebywał tam również Lew Trocki. Panowały wówczas nastroje promarksistowskie.

W końcu dziadek wrócił z moją babcią Emmy i trójką małych dzieci: Miriam, Richardem i Lorną, do Walii, gdzie ledwie wiąźali koniec z końcem.

Mówi się często, że Walia to „kraj pieśni”. Dylan Thomas przedstawił jej iście mitologiczny obraz w słuchowisku radiowym zatytułowanym *Pod mlecznym lasem*. Prawda jest jednak taka, że Walia, którą znała moja rodzina, nie była sielska, romantyczna ani swojska.

W 1921 roku, gdy mój ojciec miał czternaście lat, dziadek Hopkins zabrał go ze szkoły, żeby pracował w rodzinnej piekarni przy Tanygroes Street w Port Talbot, oczywiście nieodpłatnie. Został tam do 1936 roku.

Z kolei mój dziadek ze strony matki, Frederick Thomas Yeats, był nieprzystępnym, surowym mężczyzną, który trzymał ludzi na dystans. Urodził się w Pewsey w hrabstwie Wiltshire, w regionie typowo rolniczym, o wapiennych glebach. Kiedy się na coś zdenerwo-

wałem, mawiał: „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Zapomnij o tym”.

Dziadek Yeats pracował przy naprawie torów kolejowych i stacji rozrządowych w Swindon, a potem przeniósł się do południowej Walii, gdzie budowano właśnie nową odlewnię metali. Poznał tam Sophię Phillips, która uczyła się na krawcową w salonie sukien w Carmarthen. Po ślubie osiedlili się w Port Talbot. Mieli dwie córki, pierwszą była Muriel, moja matka, urodzona w 1913 roku.

Druga z córek, Jenny, ulubienica dziadka, zmarła na błonicę w wieku dziewięciu lat. Moja matka była wtedy dwunastolatką. Pewnego dnia w trakcie śniadania usłyszeli hałas na schodach. Dziadek poszedł sprawdzić, co się stało, i znalazł Jenny leżącą na półpiętrze, opartą o balustradę. Wbiegł po schodach i wziął ją w ramiona. Była już martwa.

Matka opowiadała mi, że w dzień pogrzebu siostry, kiedy wynoszono trumnę do karawanu, słyszała, jak jej ojciec zanosi się płaczem w korytarzyku na tyłach domu.

Jednak następnego dnia normalnie poszedł do pracy. Był operatorem dźwigu w odlewni. Pytano go, czy nie chce wziąć kilku dni wolnego, ale odmówił.

– Życia jej to nie zwróci, prawda? – odparł. – Po co to rozpamiętywać? Jak się umiera, to cię nie ma. Przeszłość minęła i nie wróci. – Nigdy więcej nie wspominał o swojej ukochanej córeczce.

Wuj Eddie, czyli Eddie James, był stawiany przez rodzinę na piedestale, a mówiło się o nim wyłącznie szeptem i z namaszczeniem: „Często jeździ do Londynu w interesach. Jada w pociągu śniadanie z naszym ministrem zdrowia Nye’em Bevanem”.

Wuj Eddie był również redaktorem gazety „Western Mail” w Cardiff. Znał szychy z walijskiego kuratorium oświaty. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób miałoby mi to pomóc.

Pewnego upalnego niedzielnego popołudnia ciotka Patty zaprosiła nas i wuja Eddiego do siebie, na Esplanade Avenue, na herbatę.

Kiedy ojciec wioził nas na spotkanie, matka odwróciła się do mnie z przedniego siedzenia pasażera. Siedziałem rozwalony na tylnej kanapie. Kazała mi usiąść prosto.

– Mam nadzieję, że nie będziesz tak siedział u ciotki Patty! Siedz prosto, bądź grzeczny i nie kręć się. Mów „proszę” i „dziękuję”, kiedy ciotka nałoży ci ciasto. Nie garb się. I nie bełkocz, kiedy wuj Eddie zada ci jakieś pytanie.

Wyglądałem przez okno. Jechaliśmy wzdłuż brzegu morza. Powróciłem myślami do ostatnich odwiedzin u krewnych. Było takie samo upiorne niedzielne popołudnie. Zeszli się wszyscy członkowie rodziny Hopkinsów, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało: obydwie siostry ojca, Mimi i Lorna, wuj Billy, wujek Jack i kuzyn Bobby. Byliśmy upchnięci niczym sardynki w puszcze w zatęchłym salonie domu wuja Daveya Charlesa i ciotki Nettie na St. Mary’s Street.

Matka po raz setny upomniała mnie, żebym siedział prosto i mówił „proszę” i „dziękuję”, kiedy ciotka Nettie poczęstuje mnie nieswieżym walijskim ciastem na porcelanowym talerzyku w delikatny kwiatowy deseń.

W pewnej chwili wpadłem na genialny pomysł: „A może by tak wstać, właśnie teraz, i wpaść w dziki szal, jak pacjenci szpitala psychiatrycznego? Czemu by nie? Zacząć szaleć i rozbić ten durny porcelanowy talerzyk w kwiatki na głowie kochanej ciotuni?”. Był to chyba pierwszy zwiastun potrzeby zemsty, jaki zaświtał w moim umyśle. Zwiastun chaosu i niebezpieczeństwa.

Siedząc w samochodzie i wspominając poprzednie odwiedziny, zauważyłem, że ojciec przygląda mi się we wstecznym lusterku. Nie pierwszy raz przyszło mi na myśl, że jest niezwykle podobny do amerykańskiego piosenkarza Binga Crosby’ego. Odwzajemniłem jego spojrzenie. Bezmyślna bezczelność. Doprowadzało go to do szału.

– Nie wiem, co z niego, do cholery ciężkiej, wyrośnie. Martwię się o niego – zwrócił się ojciec do matki.

– Na miłość boską, Dick, przestań wreszcie o tym mówić. I nie przeklinaj. Mam nadzieję, że nie będziesz używał takiego słownictwa u ciotki.

– Do diabła z parszywą ciotunią. Ciotka Patty to, ciotka Patty tamto. To banda pieprzonych hipokrytów, którzy latają do kościołka wyłącznie na pokaz. Cała ta pieprzona ferajna.

– To po co my w ogóle tam jedziemy? Czemu stale jeździmy na spotkania z twoim ojcem i siostrzyczkami?

– Jak to dlaczego? Bo są bogaci! Mamy nadzieję, że i nam coś skapnie z pańskiego stołu. Tylko o to chodzi.

W tamto upalne letnie popołudnie razem z nami jechały samochodem straszne walijskie bliźnięta – Nieszczęście i Czarna Rozpacz.

Wreszcie zajechaliśmy pod stojący nad samym brzegiem morza dom ciotki.

Ojciec nacisnął przycisk dzwonka. Dało się słyszeć jego przytłumiony dźwięk. Drzwi otworzyła nam przysadzista młoda kobieta w czarnym ubraniu i czepku służącej. Dick zrobił do matki minę, która miała oznaczać: „Przepraszam, że żyję. Wszystko jest wspaniale. Ach, jakie piękne okna wykuszowe”.

Zaprowadzono nas do salonu i poproszono, abyśmy spoczęli i się rozgościli, ciotka Patty niebawem do nas dołączy. Usiadłem na kanapie obok matki. Nie wiedziałem, czemu mam siedzieć prosto, ale próbowałem się dostosować. Ojciec stał przy oknie i przez firany obserwował letników, którzy zjechali się z całej Walii. Zmęczeni rodzice rozwrzeszczanych dzieci sunęli chodnikami Esplanade i nadmorskim bulwarem wraz z samotnymi letnikami z dolin w głębi łądu. Wydawało się, że w tamto smutne popołudnie wszyscy postanowili wyjść z domów.

Ojciec był jak zwykle podenerwowany. Odsunął zasłonę i postukał palcem w okno.

– Dziwne, nie?

– Co takiego? – spytała znużonym głosem matka.

– Ci wszyscy ludzie. Co oni tam robią?

– Dobrze się bawią, Dick. Ludzie tak robią. Normalni ludzie mają takie zwyczaje. Może usiądziesz? Przestań pukać w to okno. Nic tylko te nerwy.

– Nie chcę usiąść. Wolę postać. Która godzina?

– Nie wiem, po trzeciej.

Usłyszałem z daleka ciche bicie zegara. Do salonu weszła ciotka Patty. Wyglądała jak typowa matrona z epoki wiktoriańskiej, była niska i krępa, ale trzymała się prosto i sprawiała wrażenie silnej osoby, które potęgował jej donośny kontralt.

Podeszła do ojca i podała mu dłoń.

– Jak się miewasz, Richardzie?

– Witaj, ciociu. Miewam się dobrze, dziękuję.

– Dobrze, dobrze, dobrze. Świetnie. – Ciotka Patty zwróciła się do mojej matki: – A ty jesteś Marjorie, nieprawdaz?

– Muriel – poprawiła ją matka.

– Muriel, oczywiście. Muriel. – Spojrzała na mnie. – A to wasz syn?

– Tak, Anthony.

– Anthony, oczywiście. Anthony.

– Przywitaj się z ciocią – rozkazała matka.

– Dzień dobry, ciociu – wykonałem rozkaz.

Starsza dama zlustrowała mnie z góry na dół, po czym dotknęła mojej twarzy.

– Więc to z tobą są problemy? – zapytała.

– Chyba tak – odparłem.

– Od razu problemy... – Matka się skrzywiła. – Po prostu jest mało pojętny i tyle.

– Bycie mało pojętnym to jest problem, nie sądzisz? – odpowiedziała ciotka.

Zapadła cisza. Ciotka ponownie na mnie spojrzała. Dotknęła mojego krawata. Trzeba coś będzie poprawić.

– Eddie mówił, że Anthony’emu trzeba pomóc dostać się do prywatnej szkoły. Co się stało w West Mon? – zapytała.

– Był tam nieszczęśliwy – wyjaśniła matka.

– Szczęście to, jak wiadomo, nie wszystko – odparła ciotka. – Do jakiejś szkoły musi chodzić. Gdzie chciałbyś go posłać, Richardzie?

– Chcielibyśmy, żeby chodził do Cowbridge Grammar School.

Ciotka Patty strzepnęła niewidzialne pyłki z bluzki.

– Do Cowbridge przyjmują jedynie synów przedstawicieli wolnych zawodów, takich jak lekarze czy prawnicy, sam rozumiesz. A najlepszą szkołą dla synów rzemieślników jest West Mon. Chciałbyś, żeby Eddie porozmawiał z kim trzeba, prawda?

– Jeżeli to w ogóle możliwe... – wtrąciła się matka.

Ojciec zaczął mamrotać coś o wychodzeniu.

Nastała krępująca cisza. Było słychać głosy dzieci z ulicy. Klakson samochodu.

– No cóż – powiedziała ciotka. – Napijcie się herbaty? – Podeszła do drzwi i zawołała: – Bessie, zaparz herbatę dla gości. – Po czym wróciła do nas. – Eddie niedługo do nas dołączy – wyjaśniła. – Codziennie po południu obowiązkowo ucina sobie drzemkę. Wiecie, jak to jest.

– Codziennie? Ale czemu? Jest aż taki z m ę c z o n y? – Ojciec nie mógł przepuścić okazji, żeby wbić mu szpilę.

Na jego twarzy malował się wyraz sztucznej niewinności. Matka piorunowała go wzrokiem. Wiedziała, jak daleko potrafi się posunąć.

– Richardzie, wiesz przecież, jak to jest. Ma bardzo odpowiedzialną pracę, jest redaktorem w „Western Mail” i piastuje wysokie stanowisko w kuratorium oświaty. Jutro na przykład jedzie do Londynu pociągiem o siódmej z Cardiff. Ma spotkanie z panem Bevanem i...

– Naprawdę? Zna Nye’a Bevana? Obraca się w doborowym towarzystwie!

Wypowiedzi ojca aż ociekały sarkazmem.

– Można tak to ująć, Richardzie. Można tak to ująć. Nigdy nie spoczywa na laurach. – Odwróciła się do drzwi. – A oto i Eddie.

Do pokoju wkroczył Eddie James – Eddie Wielki. Był roslym mężczyzną o przyprószonej siwizną skroni, nosił okulary z grubymi szklami w czarnych oprawkach. Podeszedł do ojca i mocno uściśnął mu dłoń.

– Richardzie! Dobrze znałem twojego ojca – powiedział z typowo walijskim akcentem, niczym śpiewak operowy. – Ile Arthur Richard ma teraz lat? Nadal angażuje się w działalność Partii Pracy?

Ojciec był przytłoczony entuzjazmem wuja Eddiego.

– Wiesz, jak to jest, wuju, czas robi swoje. Kilka lat temu przeszedł na emeryturę.

– Wszystkich nas to dotyczy. Jak to się mówi, mamy już teraz z górki. – Wuj Eddie uklonił się mojej matce. – Witam, pani Hopkins.

– Muriel – poprawiła go ciotka Patty.

– Muriel, oczywiście.

Wuj Eddie zmierzył mnie takim wzrokiem, jakbym był przybyłym z obcej planety.

– A ty, młody człowieku, jesteś tym ślamazarą, tak?

Matka jak na zawołanie szepnęła:

– Stój prosto, wyjmij ręce z kieszeni i powiedz: „Miło mi cię poznać, wuju”.

Uśluhałem.

– Tak więc matka i ojciec martwią się o ciebie, prawda?

– Chyba tak – odparłem cicho.

– Mów głośniej, nie mamrocz.

Wuj Eddie opadł na fotel.

– W czym jesteś dobry?

Stałem przed tym władcym, siwowłosym supermenem i zupełnie nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

Niespodziewanie z odsieczą przyszedł mi ojciec.

– Powiedz wujowi, że interesujesz się astronomią.

Wuj Eddie spojrzał na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Astronomia? To mój konik – rzekł. – Powiedz mi, co wiesz na ten temat.

– Znam nazwy dziewięciu planet – wymamrotałem.

– Mów głośniej, bo nic nie słyszę – poprosił.

– Znam nazwy dziewięciu planet – powtórzyłem.

– Wymień je.

– Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun, Pluton – wypaliłem. – Najbliżej Słońca znajduje się Merkury.

– Świetnie, brawo.

Matka również wymamrotała pochwałę. Wuj Eddie postanowił dążyć temat.

– Co jeszcze wiesz? – zapytał.

– Słońce leży osiem i pół minuty świetlnej od Ziemi, czyli w odległości dziewięćdziesięciu trzech milionów mil, najbliższą nam galaktyką jest Andromeda, odległa od Ziemi o dwa i pół miliona lat świetlnych, Galileusz miał kłopoty, bo twierdził, że Słońce stanowi środek układu słonecznego, pułkownik Fawcett zaginął w dżungli amazońskiej, Titanic uderzył w górę lodową w tysiąc dziewięćset dwunastym roku, a najwyższym budynkiem na świecie jest Empire State Building w Nowym Jorku, ma wysokość tysiąc dwustu pięćdziesięciu stóp.

– Niesamowite – powiedział wuj. – Skąd to wszystko wiesz?

– Z *Encyklopedii dla dzieci* Arthura Mee. Ojciec mi ją kupił, gdy miałem sześć lat.

Był to jeden z najfajniejszych prezentów, jakie kiedykolwiek dostałem. Miałem tamtego dnia nieprzyjemną wizytę u dentysty. Kiedy po południu wróciliśmy do domu, znalazłem na progu wielkie pudło. Było tak ciężkie, że pan John, sąsiad, musiał pomóc matce wtaszczyć je po schodach do środka. Otworzyli je na stole. Dziesięciotomowa encyklopedia. Wspaniałe niebieskie tomy stojące w rzędzie, wszystkie moje.

Był piękny, słoneczny letni dzień, ale musiałem poleżeć w łóżku, żeby dojść do siebie po zabiegu. Zacząłem czytać encyklopedię i wkrótce pochłonałem wszystkie dziesięć tomów. Zacząłem od artykułów poświęconych Beethovenowi i Mozartowi, potem czytałem o Drodze Mlecznej, a następnie o przyrodzie, Ziemi, krajach świata i chwalebnych czynach. Czytywałem ją tak często, że z tomów zaczęły odpadać okładki. Bez trudu zapamiętywałem długość największych rzek świata oraz stolice i flagi wszystkich państw.

Moja wiedza wywarła na rodzinie ogromne wrażenie, ale mówiłem dalej, aż podszedł do mnie ojciec, położył mi rękę na głowie i powiedział, żebym nie męczył wuja.

– Wystarczy na dziś.

Zamilkłem, lecz wuj Eddie oświadczył:

– W porządku, Richardzie. Pozwól mu mówić. Wygląda na to, że ma dużo do powiedzenia.

Eddie spojrzał na mnie, ale nie surowo, tylko przyjaźnie.

– Lubisz czytać, Anthony? Jaka jest twoja ulubiona książka? Masz w ogóle jakąś ulubioną książkę?

– *O czym szumią wierzby* Kennetha Grahame’a, *Prester John* Johna Buchana i *Oliver Twist* i *Wielkie nadzieje* Charlesa Dickensa.

– *Wielkie nadzieje*? Wielkie nieba. Charles Dickens mówił? A którą postać lubisz najbardziej? Może Pipa?

– Nie, kryminalistę Abela Magwitcha. A w *Oliverze Twiście* lubię Fagina i Billa Sikesa.

– O rety, Magwitch? Czyli czarny charakter. Ciekawe. I Fagin. Zdaje się, że nie wylewał za kołnierz. I Bill Sikes. A Szekspir? Lubisz Szekspira?

– Tak, *Hamleta*: „Być albo nie być to wielkie pytanie. / Jest li w istocie szlachetniejszą rzeczą / Znosić pociski zawistnego losu”^{*}.

^{*} Tamże, s. 61.

I *Juliusza Cezara*. Lubię monolog Marka Antoniusza „Wielki Cezarze, upadłeś tak nisko!”* i przemowę „Obywatele, rodacy, Rzymianie”**.

Wuj Eddie zareagował śmiechem.

– Na miłość boską, wystarczy.

Odniosłem zwycięstwo. W pokoju dało się słyszeć stłumiony śmiech. Rozbawiłem chyba nawet ciotkę Patty.

Wuj Eddie wreszcie wydał werdykt.

– Marj... przepraszam, Muriel, Richardzie, wydaje mi się, że Anthony ma po prostu naturę marzyciela. Chodzi z głową w chmurach. Kto wie, pewnie nas jeszcze kiedyś zaskoczy. A jak u niego z pisanie? Pisz bez błędów?

– Bardzo dobrze – odparła matka. – Mam wrażenie, że czyta encyklopedię do poduszki. Oprócz tego dobrze rysuje i gra na pianinie, na przykład sonatę Księżycową. – Rodzice kupili mi pianino, żeby zachęcić mnie do gry, i się im udało. Uwielbiałem rysować i grać na pianinie.

Wuj Eddie pokiwał głową.

Nagle wstał z fotela.

– Wydaje mi się, że chłopak musi się po prostu p r z y ł o ż y ć do nauki. Nadrobić zaległości. Jutro rano, bladym świtem, wyjeżdżam do Londynu, ale zatelefonuję do dyrektora Cowbridge, pana Idwala Reesa. To wspaniały człowiek, skończył Cambridge. Zatelefonuję do niego dziś wieczorem albo jutro. Chyba lepiej jutro. Zadzwoń do niego z Londynu. Zobaczmy, co się da zrobić. Chłopak potrzebuje jednak korepetycji z arytmetyki i algebry.

Kiedy wracaliśmy do Port Talbot, matka oznajmiła, że jest ze mnie dumna. Ojciec tylko przyglądał mi się we wstecznym lusterku.

* William Szekspir, *Juliusz Cezar*, w: tegoż, *Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare (Szekspira) w dwunastu tomach*, t. 7: *Juliusz Cezar; Troilus i Kressyda; Perykles*, przeł. Leon Ulrich, oprac. Józef Ignacy Kraszewski, Kraków 1895, s. 49.

** Tamże, s. 56.

– Miejmy nadzieję, że wujowi Eddie’emu uda się coś załatwić.

I rzeczywiście się udało. Dzięki pomocy wuja i *Encyklopedii dla dzieci* Arthura Mee w wieku trzynastu lat rozpocząłem naukę w Cowbridge, w semestrze letnim 1951 roku. Znalazłem wreszcie swoje miejsce, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.